Sylwester Szafarz

Nie trzeba być politykiem, dyplomatą czy politologiem, żeby dostrzegać pogarszającą i komplikującą się coraz bardziej sytuację międzynarodową – i to pod każdym względem. Nie trzeba też być jasnowidzem czy prorokiem, żeby prognozować bardzo niebezpieczne, dla rodzaju ludzkiego, skutki tego stanu rzeczy i jego prawdopodobne niszczycielskie konsekwencje dla życia na Ziemi. Nawet jeśli jej mieszkańcy nie mają takiej świadomości w oparciu o przesłanki empiryczne i naukowe, to podświadomie i instynktownie wyczuwają oni, że coś niedobrego wisi w powietrzu, że coś dzieje się nie tak, jak trzeba i obawiają się coraz bardziej o przyszłość. Z rozmaitych zakątków świata dochodzą do nas głosy wręcz alarmistyczne, jak, np., niedawne wypowiedzi polityków rosyjskich (prezydent Władimir Putin i minister Siergiej Ławrow), uczonych chińskich, (profesorów: Yang Guangbing, Li Wen i Lin Hongyu)[1]. i in., którzy stwierdzają wprost, iż Stany Zjednoczone ponoszą główną odpowiedzialność za obecny chaos i niepewność panującą w świecie oraz za poważny wzrost napięcia w stosunkach międzynarodowych.

Z kolei, władze USA obarczają winą za te patologie inne podmioty państwowe, na zasadzie: „to nie my, lecz koledzy...”; i tak, owo błędne koło zarzutów i oskarżeń kręci się coraz szybciej, a jednocześnie góra nierozwiązanych problemów globalnych, kontynentalnych, regionalnych i krajowych urasta już do niebotycznych rozmiarów i do groźnej „masy krytycznej”. Tymczasem, tzw. prawda obiektywna jest jedna jedyna i niepodważalna. Trzeba tylko odważnie ją odnaleźć i spojrzeć jej w oczy. W tym celu niezbędna jest właściwa doza realizmu i obiektywizmu, jakiej, z reguły, nie staje niektórym myślicielom i decydentom odpowiedzialnym nie tylko za losy własnych państw i narodów, ale także za teraźniejszość i za przyszłość całego świata i rodzaju ludzkiego. Stwierdzenie to jest tym bardziej aktualne we współczesnej sytuacji (wybory prezydenckie w USA i nie tylko tam), kiedy może dojść do pewnych przewartościowań w polityce globalnej Stanów Zjednoczonych. Czy będą to zmiany na lepsze, które mogłyby położyć kres owemu światowemu chaosowi, zagrożeniom i marazmowi made in USA? Raczej wątpię! Bowiem, w programach wyborczych obydwu partii i osobistości kandydujących na najwyższy urząd w Waszyngtonie próżno by szukać jakościowo nowatorskiej wizji lepszego świata - z myślą o szeregowych obywatelach a nie tylko o bogatych kapitalistach oraz o całym świecie a nie tylko o USA! Poza wszystkim, nie miejmy złudzeń - niezależnie od tego, kto wygrywa tam wybory i jakie nosi nazwisko, to sedno, istota, programy i mechanizmy władzy w USA nie ulegają zmianie. Nadal rządzić tam będzie, de facto, wielki kapitał, bezpieka i kompleks wojskowo - przemysłowy. Tak uczy historia i tak potwierdzają to najnowsze doświadczenia, także z obydwu kadencji obamowskich. Z cudem graniczyłoby więc oczekiwanie, żeby stara władza wprowadziła nową politykę globalną.

Łatwo jest powiedzieć, że USA ponoszą główną odpowiedzialność za obecny chaos, marazm, impotencję i za zagrożenia na świecie. Ale już znacznie trudniej udowodnić takie twierdzenie obiektywnie i przekonująco. Warto jednak podjąć tę dość ryzykancką próbę, bowiem teraz nie mamy już wiele (czyli prawie wszystko) do stracenia, zaś stawka w toczącej się bezładnej grze globalnej jest maksymalna. Obecne położenie i funkcjonowanie USA na scenie globalnej jest nie tylko funkcją i konsekwencją ich polityki z ostatnich lat czy nawet ćwierćwiecza (od upadku systemu dwubiegunowego – rozpadu Związku Radzieckiego, dnia 26 grudnia 1991 r.). Wszakże właściwe zrozumienie i racjonalną ocenę tego zjawiska można osiągnąć dopiero dzięki jego analizie w szerszym kontekście historycznym, powiedzmy, od zakończenia II wojny światowej, zawarcia zmowy jałtańsko-poczdamskiej i od początku „zimnej wojny" (1947 r. - 1991 r.). Stany Zjednoczone zmarnowały wówczas unikalną i niepowtarzalną szansę zbudowania, wraz z sojusznikami, lepszego świata, jaka pojawiła się w warunkach euforii zwycięstwa nad faszyzmem niemieckim i włoskim oraz nad militaryzmem japońskim. Szansę tę można byłoby wykorzystać i urzeczywistnić tylko pod warunkiem, gdyby USA niezmiennie „nie były sobą", czyli gdyby nie dążyły one do panowania nad światem i do narzucenia mu perswazją lub głównie, siłą swych rozwiązań systemowych: Pax Americana, American Dream, hegemonizm, totalitaryzm, liberalizm i neoliberalizm, iluzje wolności i niepodległości, czy wreszcie, tzw. demokracji amerykańskiej. Jak by to paradoksalnie nie brzmiało, w USA nigdy nie było i nadal nie ma autentycznej demokracji (władzy ludu – demos'u). Są natomiast wyrafinowane i kosztowne pozory demokracji fasadowej (na pokaz); oraz, faktycznie, rządy (dyktatura) bogatych nad biednymi, kapitału nad pracą, oświeconych nad nieoświeconymi, mundurowych nad cywilami, grup interesów nad ogółem bezwolnego społeczeństwa itp. Jednak, poczynając od 1945 r., wszystkim kolejnym władzom (prezydentom, rządom…) amerykańskim zabrakło odwagi, wyobraźni i dalekowzroczności. Zasklepiały się one natomiast w swych przestarzałych koncepcjach, wyobrażeniach i dążeniach do panowania nad światem oraz brną tak dalej. Choć, bez wątpienia, mają świadomość, iż praktyczna realizacja tych koncepcji i dążeń była od początku niemożliwa i taką też pozostaje tym bardziej teraz we współczesnej zmienionej konfiguracji sił globalnych. Jedynym racjonalnym wytłumaczeniem owej stagnacji intelektualno-realizacyjnej jest chęć zarabiania dużych pieniędzy w „mętnej wodzie" sytuacji globalnej, m.in. poprzez opaczna globalizację, intensyfikację zbrojeń, militaryzację gospodarki, wojny regionalne oraz terroryzowanie i dyscyplinowanie obywateli prawdziwymi i urojonymi zagrożeniami (Armagedon, koniec świata, atak z kosmosu itp.).

NIEREALNE ZAŁOŻENIA

Ową przepaść między teorią a praktyką, między chciejstwem a wykonawstwem w polityce globalnej USA uważam za największy paradoks w krótkiej historii tego znakomitego, skądinąd, wielkiego mocarstwa i społeczeństwa[2]. Nijak tego pojąć nie mogę, bowiem są przecież w Stanach całe zastępy mądrych i światłych ludzi, którzy nie raz zadziwiali nas swymi imponującymi dokonaniami w wielu dziedzinach. Tyle tylko, że zaślepieni i egocentryczni decydenci nie chcą słuchać mądrzejszych od siebie i brać pod uwagę ich propozycji, także w sferze polityki zagranicznej i globalnej. Bardzo szkoda, bowiem mocno traci na tym cały świat, łącznie ze Stanami Zjednoczonymi! Prawda jest brutalna – w dobie współczesnej, realizacja dominacyjnych i hegemonistycznych aspiracji amerykańskich nie jest możliwa na drodze pokojowej; natomiast wielkiej wojny światowej Stany już nijak wygrać nie zdołają!
W swej dotychczasowej filozofii, metodologii i polityce znalazły się więc one w ślepym zaułku i

w sytuacji bez wyjścia. O przepraszam, wyjściem jest rezygnacja z aspiracji dominacyjnych, hegemonistycznych i dyktatorskich oraz racjonalne próbowanie układania się z resztą świata na pokojowych i partnerskich zasadach celem wypracowania autentycznie nowego i sprawiedliwego ładu globalnego w odróżnieniu od szkaradnej karykatury post jałtańskiej i proamerykańskiej. W tym celu potrzebna byłaby chyba II American Revolution, bowiem panujący tam establishment nie zdobędzie się raczej na taki zwrot i przełom, nawet gdyby „śmierć zaglądała mu w oczy". Jeśli ktoś przyzwyczaił się na dobre do polityki z „pozycji siły", do prawa pięści, do patologii pieniądza i zysku, do pałowania niewolników czy do kowbojskich metod z dzikiego Zachodu, to tak łatwo teraz nie zrezygnuje z tych nawyków, o ile w ogóle?
Kolejny zasadniczy błąd strategiczny USA o znaczeniu długofalowym polega na przecenianiu ich własnej (choć rzeczywistej) potęgi, pozycji monopolistycznej pod wieloma względami i na szantażowaniu tymi i innymi sposobami licznych państw i narodów świata. Drastycznym symbolem owego szantażowania było (niepotrzebne, militarnie) zrzucenie 2 bomb atomowych na Japonię, pod koniec II wojny światowej. Wtedy w Waszyngtonie wielu pomyślało sobie, że nikt im „nie podskoczy", bo mieli monopol atomowy. Ale już wkrótce potem okazało się, to mrzonką i sennym marzeniem. ZSRR przeprowadził swą pierwszą próbę z bronią atomową w 1949 r. Obecnie do „klubu nuklearnego" zalicza się już 9 państw (łącznie z Izraelem), a następne 9 ma zdolność i potencjał niezbędny do wyprodukowania takiej broni. Ironią losu i koszmarem kiedyś monopolistycznej Ameryki jest program nuklearny Korei Północnej oraz wysokie prawdopodobieństwo, iż ta broń masowej zagłady może być zastosowana przez terrorystów, właśnie przeciwko Ameryce.
Przełamanie amerykańskiego monopolu atomowego nastąpiło więc dużo szybciej niż się spodziewali jego promotorzy. Kategoria monopolu została zastąpiona przez „równowagę strachu" i przez „wzajemnie zapewnione zniszczenie" (tzw. MAD, po amerykańsku = „Mutually Assured Destruction"). To kolejne absurdy strategiczne, choć niektórzy (np. amerykańscy uczeni: John von Neumann i Herman Kahn) powiadali, iż właśnie dzięki tymże absurdom nie doszło jeszcze do wojny nuklearnej. Jednak bezpieczeństwo bazujące na strachu nie jest żadnym bezpieczeństwem. W latach 1940 r. - 1996 r. USA wydały 5,5 bln USD na doskonalenie potencjału nuklearnego. Ów pierwotny monopol amerykański, jako geneza i praprzyczyna nieszczęścia nuklearnego, oraz jego przełamywanie doprowadziło współcześnie do niezwykle niebezpiecznej sytuacji w świecie. Zgromadzono już 15.400 głowic (ładunków) nuklearnych. Użycie tylko niedużej ich części wystarczyłoby do wielokrotnego rozbicia planety Ziemia w pył kosmiczny. Oto skala tego absurdu.
Układ sił i potencjałów w tej mierze kształtuje się następująco: 1. Rosja - 1.790 głowic czynnych i 7.300 głowic - w ogóle; 2. USA - 1.750/6.970; 3. Izrael - czynne, brak danych, b.d/400 - w ogóle; 4. Francja - 290/300; 5. Chiny - b.d./260; 6. W. Brytania - 150/215; 7. Pakistan - b.d./130; 8. Indie - b.d./120; Korea Północna - b.d./15.
W politologii światowej podkreśla się, iż III wojna światowa mogłaby się rozpocząć od celowego uderzenia nuklearnego lub wybuchnąć przez przypadek (błąd komputera, poczynania szaleńca czy kolejny miscalculation). Ryzyko zwiększa się tym bardziej, że w arsenałach znajduje się taktyczna broń nuklearna (tzw. broń pola walki) i że nowa amerykańska doktryna militarna przewiduje zadanie „ciosu wyprzedzającego" („Pre-emptive Strike) potencjalnemu przeciwnikowi. Marnym pocieszeniem jest przy tym fakt, iż broń nuklearna jest już dzisiaj przestarzała w zestawieniu z innymi najnowocześniejszymi broniami[3].
Inny wielki błąd w rachubach (sławetna: miscalculation) polegał na przeświadczeniu, iż potęga, potencjał i przewaga USA nad innymi trwać będzie wiecznie oraz że nikt im nigdy nie zagrozi i

nie sprosta (nie wygra) konkurencji z nimi. Istotnym elementem owego myślenia i postępowania było i jest lekceważenie potencjalnych przeciwników i konkurentów. Tymczasem, poważnym konkurentem okazała się nawet rozkojarzona i rozlazła Europa (UE), która kiedyś zakładała Stany Zjednoczone i której ludność przewyższa o około 200 mln społeczność amerykańską. Zdruzgotana przez II wojnę światową, Europa dość szybko i sprawnie dźwignęła się z gruzów, a Ameryka tej wojny nie zaznała na swym terytorium (naturalnie, z wyjątkiem Hawajów i Pearl Harbour). Zresztą, od zakończenia amerykańskiej wojny domowej i utworzenia USA, ich strategia polega na prowadzeniu wojen jak najdalej od własnego terytorium i, najlepiej, przy pomocy cudzoziemskich żołnierzy (tzw. wojny per procura – Proxy Wars, ang.).

ROSJA I CHINY

Jeszcze bardziej wymowny jest casus amerykańsko-radziecko-rosyjski. Trzeba chyba być ułomnym, głuchym i niewidomym politycznie, aby z niegdysiejszego sojusznika antyfaszystowskiego i antymilitarystycznego zrobić swego głównego wroga (ZSRR). Dziś, wręcz nieprawdopodobnie, jak kiepski żart, brzmią informacje o tym, że wielcy bankierzy amerykańscy (oraz brytyjscy i niemieccy, np. Max Warburg) finansowali rewolucję bolszewicką w Rosji, szczególnie działalność Lenina i Trockiego, w nadziei na uzyskanie dostępu do rosyjskiego rynku, siły roboczej i surowców. Ze strony amerykańskiej, największym „filantropem" okazał się Jacob Shiff (z pochodzenia rosyjski Żyd), prezes firmy Kuhn, Loeb and Co. z Nowego Jorku oraz Morgan Group[4].

Na szczególną uwagę zasługuje też przypadek Armanda Hammera, amerykańskiego lekarza/biznesmena (także, z pochodzenia, rosyjskiego Żyda) i osobistego przyjaciela Włodzimierza Lenina (od 1921 r.). A. Hammer dorobił się ogromnego majątku dzięki rewolucji bolszewickiej, poprzez dostawy zboża, maszyn i innych wyrobów z USA. Wł. Lenin nie miał dolarów, płacił więc… kopalnią azbestu, futrami syberyjskimi, kawiorem, ropą naftową i kosztownościami carskimi. A. Hammer zgromadził największą, w USA, kolekcję obrazów i rzeźb z Ermitażu oraz sławetnych złotych i diamentowych jaj wielkanocnych Faberge. W sumie, wprowadził on do Rosji radzieckiej prawie 40 koncernów amerykańskich, a w tej liczbie Forda (traktory Fordson), Caterpillera (maszyny budowlane) i in. Założył też (I-szą w Rosji radzieckiej) fabrykę ołówków oraz przyczynił się walnie do uznania dyplomatycznego nowego państwa przez USA (w 1933 r.). Wł. Lenin traktował A. Hammera dość instrumentalnie m.in., jako czynnik przełamywania izolacji politycznej i ekonomicznej Rosji radzieckiej na arenie międzynarodowej.

Zresztą, w danym przypadku, najwidoczniej obie strony (amerykańska i radziecka) popełniły swe analogiczne miscalculations, przeceniając własne i strony przeciwnej możliwości, zamiary oraz skalę zagrożeń. Później, po długich latach bezmyślnej szarpaniny „zimnowojennej" i ogromnym kosztem, USA ostatecznie „wygrały" tę „zimną wojnę" i proklamowały światu swe „zwycięstwo" w niej. Ale było to pyrrusowe zwycięstwo, bowiem amerykańskie wydatki na bezproduktywne zbrojenia wyniosły ponad 8 bln USD; szybko też okazało się, iż Federacja

Rosyjska, gdyby zechciała, już wcześniej i teraz może stanowić znacznie poważniejsze zagrożenie dla USA niż ZSRR oraz zmieść je z powierzchni Ziemi w ciągu… 10 minut. Odwieczne tendencje i aspiracje imperialne znów odradzają się w Rosji do tego stopnia, iż Prezydent Władimir Putin ocenia, że „likwidacja Związku Radzieckiego była błędem", bowiem należało go utrzymać, odpowiednio zreformować i unowocześnić. Tak więc, jeszcze nic straconego…

Kolejne władze amerykańskie popełniały i popełniają nadal kardynalne błędy również w odniesieniu do Chin. Oby tylko, jak w przypadku Rosji nie doprowadziło to do przekształcenia ChRL z partnera strategicznego w przeciwnika strategicznego USA. Jest tam co niemiara wątpliwości, czy Chiny - to „przyjaciel, czy też wróg"? Prof. Richard Starr (Hoover Institiution, Stanford University, California) prorokował wręcz nieuchronność „czołowego zderzenia" militarnego („Head-on Crash") między Ameryką a Chinami. Czysty surrealizm, chyba że Ameryka bardzo tego zapragnie? Chiny dążą do dobrego, ale przygotowane są na najgorsze. Analiza i ocena ewolucji oraz konsekwencji polityki amerykańskiej w kwestii chińskiej prowadzi do bardzo ciekawych wniosków i uogólnień. I znów, ironia losu amerykańskiego polega na tym, że właśnie USA znacznie przyczyniły się do wykreowania obecnej wielkiej potęgi nowoczesnych Chin („China's Rise"). Rachuby amerykańskie zakładały obfite zyski z tytułu handlu, produkcji i inwestycji na ogromnym rynku chińskim. Zysków rzeczywiście było niemało, ale, z biegiem czasu, okazuje się, że gospodarka amerykańska nie wytrzymuje konkurencji jakościowej i cenowej z innymi na tymże rynku. W wyniku tego, Chiny zarabiają już więcej na rynku amerykańskim niż Ameryka na rynku chińskim[5].

W okresie od 1949 r. (powstanie ChRL), stosunki amerykańsko-chińskie kształtują się rozmaicie, raz lepiej, raz gorzej, w sumie – sinusoidalnie. Jest w tych stosunkach wiele pozytywów i oznak nadziei, ale jednocześnie niemało też negatywów i symptomów niepokoju. Ważne jednak, iż - nawet w okresach szczytowego napięcia - obie strony powstrzymywały się od przekroczenia ostatecznej granicy bezpieczeństwa. Do „czołowego zderzenia" nie doszło. Mimo ogromnych wahań i manipulacji w kwestii chińskiej, kolejne władze amerykańskie zdołały jednak zdobyć się na minimum realizmu i rozwagi w kwestiach konfliktowych. A jednak można, jeśli się chce i potrafi. Ze strony chińskiej, jedynie Przewodniczący Mao Zedong zwalczał początkowo amerykańskiego „papierowego tygrysa", a nawet groził zniszczeniem USA. Przeanalizujmy więc, na najważniejszych konkretnych przykładach, jak kształtowała się owa sinusoida stosunków wzajemnych?

Do bezpośredniej konfrontacji chińsko-amerykańskiej na polu walki doszło w czasie wojny koreańskiej. 1 listopada 1950 r. wojsko chińskie przystąpiło tam do boju z US Army. Wojna zakończyła się porozumieniem o zawieszeniu broni (do tej pory brak traktatu pokojowego), dnia 27 lipca 1953 r. Nie można powiedzieć, żeby USA wygrały tę wojnę. Poniosły ogromne ofiary ludzkie (ok. 50.000 zabitych) i koszty finansowe: 30 mld USD (obecnych). Wojna ta zapoczątkowała całą serię porażek militarnych US Army, trwających po dziś dzień. Znamienne, że USA rozpoczynają i prowadzą wojny z państwami mniejszymi i znacznie słabszymi od siebie. Z silnymi wolą nie zaczynać. Powstały dwa państwa koreańskie, co nadal jest nieprawdopodobną anomalią i tragedią narodu koreańskiego. W różnych aspektach, wielkie mocarstwa rozgrywają ryzykownie od lat „kartę koreańską", (np. kwestia zjednoczenia, tzw. North Korean Nuclear Issue itp.) w swych stosunkach wzajemnych; a, w międzyczasie, Niemcy i Wietnam zostały zjednoczone!

Groźnie było także w okresie wojny wietnamskiej (1 XI 1955 r. - 30 IV 1975 r.), w której Chiny zaangażowały się zdecydowanie po stronie Północy, a Amerykanie (z sojusznikami) pod stronie

Południa. Wojna zakończyła się totalną klęską USA i kosztowała 111 mld USD; 58.220 Amerykanów zapłaciło życiem za udział w wojnie; ale wietnamskie straty w ludziach sięgają 3 mln obywateli cywilnych i wojskowych + ogromne zniszczenia kraju. I teraz znów kolejna ironia historii: w dniach 23 -25 maja 2016 r., prezydent Barack Obama złożył oficjalną wizytę w Wietnamie. Usiłował zabliźnić rany wojenne i obiecał dostawy broni amerykańskiej dla Wietnamu. Przeciwko komu ma być wymierzona ta broń? Otóż, obawiam się, że USA (irracjonalnie i majdanowo) chciałyby ustawić Wietnam i Filipiny przeciwko Chinom w podobny sposób, jak ustawiły Polskę (majdan = Stocznia Gdańska im. Lenina) i Ukrainę (majdan kijowski) przeciwko Rosji!?

Po co Ameryce była wojna koreańska i wietnamska? Wytłumaczeń jest wiele: realizacja aspiracji hegemonistycznych i dominacyjnych, nakręcanie koniunktury, militaryzacja gospodarki, dyscyplinowanie, straszenie i terroryzowanie własnego społeczeństwa oraz innych narodów i państw („jeżeli nie będziecie posłuszni Ameryce, to może was spotkać taki sam los, jak Koreańczyków czy Wietnamczyków") oraz – i przede wszystkim – testowanie i osłabianie głównych rywali: ZSRR i Chin. Łatwo wyobrazić sobie, co by się stało, gdyby USA wygrały wojnę koreańską i wietnamską? Zapewne przekształciłyby one Koreę i Wietnam we własne kolonie lub stany zamorskie, graniczące bezpośrednio z… Chinami i z Rosją. Stanowiłoby to dla nich kolosalne zagrożenie strategiczne, na które oba te wielkie mocarstwa nie mogły sobie pozwolić. Dlatego tak mocno wspierały one Koreańczyków i Wietnamczyków w nierównej walce z Amerykanami i wygrały. Ale, Amerykanie, jak to w ich zwyczaju, nie wyciągnęli odpowiednich wniosków z tej lekcji historycznej i brnęli dalej w kolejne awantury wojenne.

W 1964 r. Chiny przeprowadziły I próbę z bronią atomową. W USA zapanowała panika z tego powodu. Prezydent Lyndon B. Johnson zamierzał wówczas zaatakować ChRL, aby pokrzyżować realizację jej programu nuklearnego. Na szczęście, doradcy wybili mu to z głowy. Zresztą, pozostałości koncepcji „uderzenia wyprzedzającego" („póki nie jest jeszcze za późno") pokutują nadal w niektórych kręgach amerykańskich; ale ci panowie chyba zdają sobie sprawę, że jest już za późno! Lata 60-te XX wieku to był trudny okres w powojennej ewolucji stosunków chińsko - amerykańskich. USA blokowały dostęp ChRL do ONZ, upierając się przy członkostwie Tajwanu w tej Organizacji. Ale rozmowy dwustronne trwały na szczeblu ambasadorów. Łącznie, poczynając od roku 1954, odbyło się 136 takich spotkań, w Genewie i w Warszawie.

Od roku 1971 nastała era „dyplomacji pingpongowej" i tajnych rozmów z Chińczykami prowadzonych przez Henry Kissingera (głównie z Zhou Enlaiem). W ich wyniku, Przewodniczący Mao zaprosił Prezydenta Richarda Nixona do Chin. To był pozytywny przełom. Wizyta odbyła się w dniach 21 - 28 II 1972 r. Nixon proklamował erę negocjacji zamiast konfrontacji. Epokowym wynikiem wizyty był tzw. komunikat szanghajski prowadzący do normalizacji stosunków. USA uznały koncepcję jednych Chin, a Tajwan jako ich integralną część. Najpierw ustanowiono biuro łącznikowe, a nawiązanie stosunków dyplomatycznych nastąpiło z dniem 1 I 1979 r., czyli prawie 30 lat po utworzeniu ChRL. Ambasady obydwu mocarstw rozpoczęły swą działalność z dniem 1 III 1979 r.

Od tej pory obserwujemy systematyczny i dość wszechstronny rozwój wzajemnych stosunków. Ich kolejnym etapem była pamiętna wizyta w USA wielkiego reformatora chińskiego, Przewodniczącego Deng Xiaopinga (28 I - 5 II 1979 r.). W ślad za tym, następni najwyżsi przywódcy chińscy i amerykańscy wizytowali się nawzajem. Za ich przykładem szli premierzy, ministrowie, wysocy dowódcy wojskowi, gubernatorzy prowincji i stanów, prezydenci miast, przedsiębiorcy, turyści, uczeni, studenci, ludzie pióra i zwykli obywatele. Już przeszło 300.000 studentów i doktorantów chińskich pobiera nauki na uniwersytetach amerykańskich, a 100.000

młodych Amerykanów w Chinach. Ustanowiono system strategicznego dialogu gospodarczego (Strategic Economic Dialogue). Ponad 100 Instytutów Konfucjusza funkcjonuje w USA, a uniwersytety amerykańskie uruchamiają swe filie w Chinach.
Słowem, kontakty rozwijają się na wszelkich możliwych płaszczyznach i szczeblach oraz we wszystkich najważniejszych formach, nie tylko na gruncie dwustronnym lecz również wielostronnym (np. ONZ, G-20, APEC, Asia – Pacific Economic Cooperation i in.).
Zdecydowanym rzecznikiem efektywnej współpracy chińsko-amerykańskiej jest prezydent Xi Jinping, dobrze znający problematykę amerykańską oraz doceniający rolę i znaczenie konstruktywnej współpracy nie tylko dla dobra obydwu Stron lecz również dla całego świata. Niedawno prezydent Xi zaproponował opracowanie i wdrożenie nowego modelu stosunków wzajemnych między największymi mocarstwami: ChRL i USA.
Współpraca koncentruje się wokół spraw o kardynalnym znaczeniu dla obydwu Stron i dla całego świata. Nie jest to współpraca łatwa, prosta i przyjemna dla Chińczyków, bowiem partnerzy amerykańscy, na najwyższych szczeblach decyzyjnych, są często egocentryczni, uparci, nieszczerzy, zadufani w sobie i dążący do „ograniа" czy „przechytrzenia" drugiej Strony. Należy podziwiać pragmatyzm, realizm, wytrzymałość nerwową i anielską cierpliwość Chińczyków, którzy ze stoickim spokojem, ale też z wielką determinacją, znoszą rozmaite wybryki amerykańskie. Bowiem, prawdę mówiąc, bez optymalnej współpracy chińsko-amerykańskiej, niemożliwe byłoby rozwiązywanie nie tylko własnych problemów obydwu Stron, ale również kluczowych kwestii globalnych. Tak więc, spraw wspólnego zainteresowania jest multum, jak np.: pokojowy rozwój, nowy ład światowy, współpraca gospodarcza, handlowa i finansowa, najnowsze technologie, bezpieczeństwo międzynarodowe, bronie masowej zagłady, problematyka kosmiczna, wojny informatyczne, regeneracja gospodarstwa światowego po kryzysie globalnym wywołanym przez neoliberałów amerykańskich, walka z terroryzmem, ochrona środowiska naturalnego, zmniejszenie emisji gazów przemysłowych, zmiany klimatyczne, patologie rozwojowe, problem uchodźców, nowy model stosunków ChRL – USA, współpraca gospodarcza między państwami Pacyfiku, prawa autorskie i wiele, wiele innych. Z reguły, podejście Amerykanów jest bardziej konstruktywne i koncyliacyjne w tych kwestiach, których sami (bez Chińczyków) nie zdołaliby rozwiązać oraz w tych, w których mogą oni odnieść określone korzyści. To jedna strona medalu, raczej pozytywna.
Druga strona jest znacznie trudniejsza, raczej negatywna i bardziej skomplikowana. Bowiem, decydenci amerykańscy stosują taktykę „podszczypywania", nękania i denerwowania Chińczyków rozmaitymi sposobami. W polityce amerykańskiej metodologia ta znana jest pod mianem „powstrzymywania" rywala/partnera (tzw. Containment). Była ona stosowana w szerokiej skali i dość skutecznie przeciwko Związkowi Radzieckiemu. Jednak ChRL to nie ZSRR i ta ograna sztuczka już się Amerykanom nie uda. Na „szczycie" G20, w Hangzhou, Barackowi Obamie dano jednoznacznie do zrozumienia, z czego Chińczycy nie są zadowoleni. Chyba najpoważniejszym problemem kontrowersyjnym jest hegemonizm i dążenie USA do umacniania swej pozycji w świecie, szczególnie, na obszarach Azji i Pacyfiku (kosztem Chin i tuż obok ich terytorium). W ostatnich latach, Stany znacznie przeorientowały swe zainteresowania i obecność polityczno-strategiczną, np., z Europy w kierunku Azji/Pacyfiku, dostrzegając, zapewne, iż tam przeniosło się centrum rozwoju naszej cywilizacji w XXI wieku i w stuleciach następnych. Zrozumiałe, że taka reorientacja zahacza o żywotne interesy Chin, które nie dopuszczą do ich uszczuplenia. Jest to więc powodem wzrostu napięcia w stosunkach wzajemnych i nosi wyraźnie antychiński charakter; tym bardziej, że USA wykorzystują, w swych

zamiarach i poczynaniach, sojuszników azjatyckich: Japonię, Filipiny, Koreę Płd., Australię i starają się pozyskać w tych celach nawet Wietnam. Wygląda to nieciekawie i groźnie. Nękanie Chin polega, m.in., na mieszaniu się w ich sprawy wewnętrzne, na „udzielaniu lekcji" w kwestiach praw człowieka, demokracji, wyborów, Tybetu, Dalajlamy, Tajwanu (któremu USA dostarczyły ostatnio uzbrojenie o wartości 6,4 mld USD), Ujgurów, „kolorowych rewolucji", wolności słowa, dysydentów, na podsycaniu niepokojów społecznych w Hongkongu itp. Od wielu lat, obie strony prowadzą swoistą wojnę podjazdową na: publikowane corocznie, „białe księgi" w kwestii praw człowieka. USA twierdzą, iż nie są one przestrzegane w ChRL, a ChRL czyni to samo w stosunku do USA. Poważną sprawą jest także negowanie przynależności do Chin wysp na morzach otaczających ich terytorium, szczególnie na Morzu Południowo-Chińskim oraz popieranie pretensji terytorialnych do tych wysp ze strony innych państw regionu.

Nie dziwi przeto wprowadzenie nowej zdecydowanej doktryny militarnej Chin („armia musi nie tylko prowadzić, ale wygrywać wojny…") oraz systematyczne wspólne ćwiczenia z siłami zbrojnymi Rosji i innych państw członkowskich Szanghajskiej Organizacji Współpracy. Nie można też pominąć milczeniem istnienia i funkcjonowania ponad 20 amerykańskich baz wojskowych otaczających długim łańcuchem terytorium Chin od Zachodu, Południa i Wschodu, nieustające misje patrolowe samolotów bojowych US Air Force i okrętów US Navy nieopodal terytorium ChRL[6]. Nie zmienia to faktu, iż, od czasu do czasu, okręty VII floty amerykańskiej (Pacyfiku) składają „wizyty przyjaźni" w portach chińskich. Obłuda amerykańska ma swoją specyfikę i swój „urok". Jest też niemało spornych spraw w dziedzinie gospodarczej, handlowej, inwestycyjnej i finansowej (protekcjonizm, prawa autorskie czy zarzuty amerykańskie ws. „niedowartościowania" waluty chińskiej, juana itp.).

Słowem aktualny stan stosunków amerykańsko-chińskich, choć nie idealny a nawet nie optymalny, jest wypadkową ww. „raczej pozytywów i „raczej negatywów". Stosunki te wymagają również radykalnych reform, uzdrowienia, ubezpieczenia, optymalizacji i usprawnienia - dla dobra obydwu Stron i całego świata. Tak dalej być nie powinno. Ameryka nie ma chyba innego racjonalnego wyjścia, jak tylko określić i wdrożyć swą nową „China Policy" (i „Russia Policy") oraz zgodzić się na poprawę i na nowy model tych stosunków. Pewne jest jednak, iż, niezależnie od amerykańskiego nękania i „powstrzymywania" oraz w wyniku chińskiej polityki reform i otwarcia na świat (od 1978 r.), pozycja ChRL wobec USA (i reszty świata) stale się umacnia, zaś pozycja USA wobec ChRL (i reszty świata) systematycznie ulega osłabieniu. Tego obawiają się najbardziej antychińscy jastrzębie w Stanach i w innych krajach.

Uznałem za stosowne przeanalizować nieco szerzej powojenną ewolucję stosunków amerykańsko - chińskich nie tylko z uwagi na ich wielkie znaczenie globalne, lecz także po to, aby poprzez tę soczewkę uwidocznić niesamowite meandry, niekonsekwencje i najzwyklejsze, wręcz niezrozumiałe, błędy makro i miscalculations w polityce USA, odnoszące się również do wielu innych krajów, łącznie z naszym (np. fiasko amerykańskiego planu Sachsa/Balcerowicza). Jest to polityka nieefektywna i bardzo kosztowna, gdyż za poważne błędy, nieprzemyślane posunięcia i futurystyczne miscalculations trzeba srogo płacić. Niektórzy decydenci amerykańscy zdają się nie pamiętać, że 420.500 obywateli amerykańskich (w tym 12.500 cywilów) oddało swe życie, w słusznej sprawie, podczas II wojny światowej i że koszty udziału USA w tej wojnie przekroczyły 300 mld USD (obecnych; 431 mld USD ówczesnych) – dane ze źródeł Kongresu USA[7]. Owoce tego zwycięstwa zostały zaprzepaszczone w dużej mierze w wyniku kolejnych porażek militarnych USA w świecie i ich poronionej polityki globalnej.

HARD POWER

Powracamy do głównego wątku rozważań zaczynając od stwierdzenia, iż główny historyczny błąd strategiczny USA polega również na preferowaniu rozwiązań siłowych (Hard Power) zamiast rozwiązań pokojowych (Soft Power) - w dążeniu do dominacji, hegemonii i Pax Americana. W Waszyngtonie doszli bowiem do przekonania, iż tylko siłą uda się skłonić inne państwa i narody do zaakceptowania owych „ideałów". Znaczy to, że nie są one dostatecznie atrakcyjne i przekonujące dla innych. Np. jak je zrealizować w Arabii Saudyjskiej, będącej, do niedawna, potulnym sojusznikiem USA, ale już rewidującym swe stosunki z nimi? Co gorsza, również siłą nie można nikomu narzucić ww. „ideałów", jak świadczy o tym bolesny przykład Kuby, Chile, Libii, Egiptu, Iraku, Syrii, Afganistanu, i in. W świetle tego, marzenie o „amerykanizacji" Rosji, Indii, Chin, Iranu czy nawet Unii Europejskiej graniczy wręcz z kosmicznym absurdem.
Wielce wymowny w tym kontekście jest casus Iranu, w którym USA usadowiły kiedyś cesarza Mohammada Rezę Shaha Pahlaviego i wpompowały około 5 mld USD (ówczesnych) w armię imperialną. Miało to stanowić gwarancję dla interesów naftowych USA w rejonie Zatoki Perskiej i dla bezpieczeństwa Izraela. Ale w Stanach nie przewidziano, że cesarz może zostać obalony. Protesty społeczne przeciwko niemu trwały od października 1977 r. Wreszcie, cesarz opuścił Iran w dniu 16 I 1979 r. i wyemigrował do Egiptu. Dokonała się I rewolucja islamska i zdobycie władzy przez fundamentalistów, którzy przejęli również armię imperialną i uzbrojenie amerykańskie. Ale młodzież i strażnicy rewolucji islamskiej protestowali nadal - tym razem przeciwko Ameryce. M.in. okupowali oni ambasadę USA w Teheranie i wzięli 52 zakładników, których przetrzymywali przez 444 dni.
Celem ich uwolnienia, prezydent Jimmy Carter wydał rozkaz przeprowadzenia operacji „Eagle Claw" („Orli Szpon"). Wprawdzie oddziały specjalne wylądowały na pustyni irańskiej, dnia 24 IV 1980 r., ale ich misja zakończyła się nazajutrz totalnym i kompromitującym niepowodzeniem wskutek błędów i niedociągnięć taktyczno - technicznych (m.in. śmigłowiec zderzył się z samolotem tankującym podczas burzy piaskowej. Piloci zginęli). J. Carter przegrał kolejne wybory. Irańczycy oddali zakładników Amerykanom dnia 20 stycznia 1981 r., dokładnie w dniu zaprzysiężenia nowego Prezydenta Ronalda Reagana. Jednak, od tamtej pory Stany boczyły się na Iran, atakowały go ostro w propagandzie, nakładały sankcje, blokowały konta bankowe, nie importowały ropy naftowej i gazu, groziły uderzeniem w irańskie reaktory nuklearne itp. Względna normalizacja nastąpiła dopiero niedawno, po zawarciu porozumienia ws. irańskiego programu nuklearnego, dnia 14 VII 2015 r. Ale trzydzieści kilka lat zostało bezpowrotnie zmarnowanych. Po co?
Poza ww. wojną koreańską i wietnamską, historia post jałtańska zna jeszcze wiele innych awantur wojennych w wydaniu amerykańskim. Jest chyba źdźbło prawdy w ironicznych porzekadłach, iż „każdy Prezydent USA musi mieć swoją wojnę" oraz że „USA nie mogą się obyć bez wroga". Niektóre z incydentów i sytuacji konfliktowych były bardzo groźne, kryły w sobie ryzyko wybuchu wielkiej wojny. Np.,: - kryzys berliński (4 VI - 9 XI 1961 r.), kiedy władze radzieckie zarządziły blokadę miasta, aby powstrzymać odpływ ludności z Berlina Wschodniego. W odpowiedzi, Amerykanie zorganizowali zaopatrzeniowy most powietrzny. Potem, rozpoczęto budowę „muru berlińskiego"; - kryzys kubański (1962 r.), związany z radziecką próbą przetransportowania i zainstalowania na Kubie rakiet wymierzonych przeciwko USA. Jednak, mimo kolosalnego napięcia, Nikita Chruszczow i John F. Kennedy znaleźli rozwiązanie kompromisowe. Rakiety zostały wycofane. Bardzo groźne i brzemienne w

konsekwencje były także kolejne wojny na Bliskim Wschodzie, starcia wokół Tajwanu, czy bombardowanie Jugosławii przez lotnictwo USA/NATO (24 III - 10 VI 1999 r.), w czasie wojny w Kosowie. Wówczas to, zbombardowano nawet, chyba nie przez przypadek, gmach ambasady ChRL w Belgradzie oraz doprowadzono do rozczłonkowania pięknej i zasobnej naonczas Jugosławii na kawałki. Komu ona przeszkadzała?
Jednak polityka US Hard Power dała najbardziej negatywnie znać o sobie w następujących przypadkach: - wojna w Zatoce Perskiej (1990 r. - 1991 r.) kosztowała podatników amerykańskich ponad 61 mld USD i przyniosła nijakie rezultaty (może poza wypróbowaniem, na polu walki inteligentnych broni nowych generacji, tzw. smart weapons); - wojna w Afganistanie (2001 r. - praktycznie do dziś). Dotychczasowe koszty: ponad 1,5 bln USD. Suma ta może wzrosnąć do 5 bln USD, jeśli uwzględni się koszty ubezpieczenia żołnierzy, leczenia rannych i psychicznie chorych oraz odszkodowań dla rodzin zmarłych; awantura afgańska US Army urasta do rangi tragicznego symbolu niepowodzenia strategii Hard Power i polityki „z pozycji siły"; - podobnie jak wojna iracka (2003 r. - praktycznie, do dziś), wywołana pod fałszywym pretekstem posiadania broni masowej zagłady przez Saddama Husseina. Dotychczasowy koszt: ponad 800 mld USD; oraz setki tysięcy zabitych i rannych w ww. przypadkach.
Donald Trump ocenia, że agresja amerykańska w Iraku przyczyniła się do powstania Państwa Islamskiego. Fakt, że wojny te są tak przewlekłe świadczy o tym, że założone cele nie zostały osiągnięte i że strategia US Hard Power ponosi fiasko.
Szczególnym przypadkiem niepowodzenia USA w ramach tej strategii jest casus ukraiński i syryjski. Kiedy trwał II majdan (tzw. Euromajdan) w Kijowie, zapoczątkowany dnia 21 XI 2013 r., pewnego razu, pod „osłoną" owego majdanu, okręty VI floty US Navy (śródziemnomorskiej) przepłynęły nielegalnie przez cieśniny czarnomorskie i skierowały się ku… rosyjskiej bazie morskiej w Sewastopolu. Cel tej misji był jasny: zajęcie bazy. Ale Cziernomorskij Fłot był szybszy i nie dopuścił do tego, po czym Rosja zajęła Krym. USA udało się wszakże zainstalować proamerykańskie władze na Ukrainie i doprowadzić tamże do powszechnego bałaganu, który Leszek Balcerowicz i Michaił Saakaszwili, doradcy rządowi, mogą jedynie pogłębić.
Przypadek syryjski jest znacznie bardziej skomplikowany i niebezpieczny. W wyniku tzw. wojny sześciodniowej, w 1967 r., Izrael zajął, m.in., syryjskie Wzgórza Golan. Okupacja trwa do tej pory. Wystarczy tylko spojrzeć ze szczytu tych Wzgórz, by zrozumieć ich strategiczne znaczenie. W dole rozpościera się biblijne Jezioro Galilejskie, którego życiodajna woda przesyłana jest rurociągami na pola i sady izraelskie. Poza wszystkim, Syria ma priorytetowe znaczenie i położenie strategiczne na mapie Bliskiego Wschodu, także w kontekście państwa islamskiego. Obok Iranu, chyba Syria jest teraz największym wrogiem Izraela, a Izrael – Syrii. USA bronią więc Izraela, co zrozumiałe. W danym przypadku, Stany chciały powtórzyć w Syrii to, co zrobiły w Libii (zabójstwo Muammara Qaddafiego i ustanowienie władzy proamerykańskiej) oraz w Iraku (zabójstwo Saddama Husseina i ustanowienie władzy proamerykańskiej). O ile w poprzednich przypadkach świat przyglądał się dość biernie wyczynom amerykańskim, o tyle w odniesieniu do Syrii i – wcześniej – do Ukrainy, Rosja powiedziała: „stop" i wysłała tam swoje siły zbrojne. Bombardowania rosyjskie zaczęły się dnia 30 IX 2015 r. Władza Baszira el-Asada i on sam zostali uratowani, póki co. Amerykanie zdębieli, bo – najwyraźniej – tego się nie spodziewali. To kolejny krach ich Hard Power Policy.
De facto, w Syrii trwa więc bezpośrednia zbrojna konfrontacja sił rosyjskich (z udziałem wojsk prorządowych) i sił amerykańskich (z udziałem armijek antyrządowych), Turków, Kurdów,

terrorystów, islamistów i in. Niebywały galimatias polityczno-strategiczny. Jego końca nie widać. Tymczasowe zawieszenia broni kończą się, zazwyczaj, wznowieniem działań bojowych. ONZ jest bezsilna. Niewymowne są cierpienia ludności cywilnej. Ze źródeł ONZ i Ligi Arabskiej wynika, że liczba zabitych Syryjczyków przekroczyła już 400.000 osób, w tym 15.000 dzieci. Liczba obywateli, którzy musieli opuścić swe domostwa i szukać schronienia w innych regionach kraju = 6 mln; zaś liczba uchodźców syryjskich = ponad 5 mln osób. Bezradni Europejczycy znają ich gehennę, niejako, z autopsji. Koszty tej wojny są astronomiczne. Po stronie rosyjskiej: 3 mln USD dziennie (łącznie już ponad 500 mln USD); zaś po stronie amerykańskiej – cztery razy więcej, na dzień i ogólnie. Oto konkretne „wyniki" poronionej US Hard Power Policy. Ale czy pozycja USA na Bliskim Wschodzie i w skali globalnej oraz bezpieczeństwo Izraela zostały umocnione? Raczej, wręcz przeciwnie. Ponadto, wojna w Syrii stanowi dziś najpoważniejsze zarzewie nie tylko szerszego starcia amerykańsko-rosyjskiego, lecz również wybuchu III wojny światowej.

I wreszcie, ułomności i nieadekwatność analizowanej polityki i strategii globalnej US widoczne są jaskrawo również przez pryzmat ich wojny z terroryzmem („War on Terror"). Terroryzm jest stary jak świat. Nie zaczynając od „Adama i Ewy", godzi się przypomnieć, iż za jego protoplastów uważa się żydowskie ugrupowanie Sicarii (Nożownicy), którzy, w I wieku n.e., sztyletami mordowali w Judei tamtejszych kolaborantów ówczesnych władz rzymskich. Zaś, w naszych czasach, za punkt zwrotny w ewolucji terroryzmu i walki z nim uważa się atak samolotowy na wieżowce World Trade Center, w Nowym Jorku, dnia 11 IX 2001 r. Zresztą, okoliczności tej tragedii nie zostały jeszcze wyjaśnione do końca, w związku z czym ludzie gubią się w domysłach i w spekulacjach.

Tom Brokaw, bezpośredni świadek wydarzeń, stwierdził wówczas, że „terroryści wypowiedzieli wojnę Ameryce" („terrorists have declared war on America"). Słowom tym nadano znaczny rozgłos w USA i na całym świecie. Wkrótce potem, dnia 16 IX 2016 r., prezydent George W. Bush proklamował, po raz pierwszy, Global War on Terror. Z natury rzeczy, wojna ta została wkomponowana w US Hard Power Strategy w skali światowej. Podejście władz amerykańskich do tej kwestii uległo zmianie nieco później. W 2013 r., prezydent Barack Obama uznał, mianowicie, że kategoria Global War on Terror jest zbyt ogólna i wszystkoistyczna oraz, że w walce z terroryzmem należy koncentrować się na konkretnych celach, obiektach i ludziach, zagrażających Ameryce. Zaczęło się, m.in., polowanie na przywódców terrorystów, głównie przy pomocy oddziałów specjalnych i dronów (np. zabicie Osamy bin Ladena, w dniu 2 V 2011 r.). Irak zajmuje smutne I miejsce na liście państw o największej liczbie ataków terrorystycznych.

Jednakowoż, wojna USA (i innych państw) z terroryzmem nie przynosi pożądanych efektów. Wręcz przeciwnie, przyczyniła się ona do znacznego rozszerzenia tej zmory XXI wieku. Tzn., że metodologia i efektywność tej wojny jest niewłaściwa. Od 2000 r. do dziś liczba ataków i zamachów terrorystycznych na świecie zwiększyła się dziesięciokrotnie, osiągając, łącznie, liczbę ponad 70.000 ataków i 150.000 zabitych[8] oraz straty materialne rzędu 60 mld USD. Rekordowe liczby ataków zanotowano w następujących latach: 2006 r. - 14.371; 2007 r. - 14.414; 2014 r. - 13.482; 2015 r. 11.774 (i ponad 50.000 zabitych); do połowy 2016 r. - ponad 1.400 ataków i 12.000 zabitych[9]. Liczby rannych i okaleczonych są, z reguły, kilkunastokrotnie większe.

Kolejna miscalculation amerykańska polega więc na zwalczaniu, głównie, skutków (a nie przyczyn: wojny, bieda, poniżenie, głód i in.) terroryzmu oraz na stosowaniu, w odpowiedzi, terroryzmu państwowego. Tymczasem, nawet najpotężniejsza US Army nie będzie w stanie

wygrać z terroryzmem, który jest przeciwnikiem nieuchwytnym, nieobliczalnym i działającym z zaskoczenia przy pomocy prostych acz coraz bardziej wyrafinowanych metod zabijania. Ponadto, błąd Ameryki (i Zachodu) polega na zrażeniu sobie całego Islamu, a nie tylko fundamentalistycznych i fanatycznych terrorystów. Źródła islamskie podają, iż, w okresie od 1990 do dziś „Zachód zabił ponad 4 mln muzułmanów". Proszę bardzo!

SIŁA I SŁABOŚĆ USA

Najpierw o sile. Generalnie, gdyby sporządzić bilans plusów i minusów USA, jako wielkiego mocarstwa globalnego, to uzyskamy obraz „słonia na glinianych noga". Bowiem, żeby prowadzić optymalną i efektywną politykę globalną, USA powinny dysponować odpowiednim potencjałem materialnym i moralnym, teoretycznym i praktycznym oraz realnym programem działania długofalowego i środkami jego realizacji. Tymczasem jednak, nie dysponują one żadnym z tych składników w odpowiedniej wielkości i o odpowiedniej jakości (oczywiście, z wyjątkiem sił zbrojnych, o czym poniżej). Bez wątpienia, siły zbrojne, są największym atutem USA w grze globalnej, stosunkowo nieźle dopasowanym do celów i charakteru Hard Power. Kolejny paradoks amerykański, w kontekście międzynarodowym, polega więc na przepaści (dysproporcji) między wygórowanymi ambicjami dominacyjnymi a niedostatecznymi możliwościami ich realizacji. Np. zamiast programu, działa się w sposób chaotyczny, od przypadku, do przypadku. Nawet, jeśli jakieś plany są, to brakuje ich dopasowania do obecnych i do przyszłych realiów globalnych (np. zmiany układu sił i in.).
Podałem już wcześniej dane dotyczące budżetu wojskowego i ogromnych kosztów prowadzenia wojen przez USA. Dane te wymagają syntetycznego uzupełnienia dla uzyskania pełniejszego obrazu instrumentów US Hard Power. I tak, amerykańskie siły zbrojne liczą, pod bronią, łącznie 1.300.300 żołnierzy i oficerów oraz 811.000 rezerwistów. Wojska lądowe (the Army): 475.000 żołnierzy i oficerów służbie czynnej, 540.000 rezerwistów i członków gwardii narodowej, 5.000 samolotów i około 9.000 czołgów różnych typów; Marynarka wojenna (US Navy): 329.000 marynarzy i oficerów, 430 okrętów wojennych, w tym 19 lotniskowców, 1 - w rezerwie, 3 - w budowie i 16(!) planowanych oraz 3.700 samolotów bojowych. Wojska lotnicze (US Air Force): 333.772 osób, 5.137 samolotów bojowych, 450 międzykontynentalnych rakiet balistycznych (ICBM = Intercontinental Ballistic Missiles) i 63 satelity; potencjał nuklearny: 6.970 głowic (ładunków nuklearnych), 800 rakiet balistycznych i samolotów zdolnych do przenoszenia broni nuklearnej oraz 180 taktycznych bomb nuklearnych (tzw. pola walki) rozmieszczonych w Europie (!). Ponadto, 800 baz wojskowych USA rozmieszczonych w 150 krajach świata; np. w RFN stacjonują nadal 52.000 żołnierzy i oficerów amerykańskich, w Japonii - 36.00 i w Korei Płd. - 29.000. Bez wątpienia, jest to największy potencjał militarny świata, którego lekceważyć nie należy. Ale co z tego, skoro USA przegrały wiele wojen (Korea, Wietnam) a innych wygrywać nie potrafią (Afganistan, Libia, Irak, Syria, terroryści itp.)?!
Jeszcze do niedawna, gospodarka była drugim potężnym atutem materialnym w polityce globalnej USA, ale ostatnio traci ona na znaczeniu, jest coraz mniej konkurencyjna i efektywna bowiem nadal produkuje dość dobrze, ale drogo. Jest to tym dziwniejsze, iż USA odgrywają wiodącą rolę w świecie w zakresie innowacyjności i postępu naukowo - technicznego. Powodów tego jest wiele, jak np.: - kryzys globalny (od 2007 r.), który Amerykanie sami sobie (i innym) sprokurowali i który bardzo silnie uderzył również w gospodarkę USA; - rozwój gospodarczy Chin i innych państw oraz konkurencja ze strony Unii Europejskiej; - wzrost cen wielu surowców niezbędnych w produkcji amerykańskiej; - niedowład powojennego światowego systemu

ekonomiczno-finansowego, którego kurczowo trzyma się gospodarka USA i in.
Najważniejsze aktualne wskaźniki makroekonomiczne USA są następujące: stopa wzrostu PKB - 2,6%, wartość PKB - 18,6 bln USD (PPP), PKB per capita - 57.220 USD; liczba obywateli zdolnych do pracy - 156 mln, stopa bezrobocia - 4,7% (8 mln bezrobotnych i 13,7% obywateli poniżej minimum socjalnego), stopa inflacji - ok. 2%, wartość eksportu - 1,9 bln USD, wartość importu - 2,5 bln USD, łączna wartość bezpośrednich inwestycji zagranicznych w USA - 2,5 bln USD, łączna wartość bezpośrednich amerykańskich inwestycji za granicą - 3,5 bln USD, rezerwy walutowe - 0,15 bln USD, dług publiczny - 19,3 bln USD (więcej niż dochód narodowy PPP), dług zagraniczny - ponad 18 bln USD.
Ale to nie wszystkie długi. Trzeba do nich dodać jeszcze zadłużenie producentów, konsumentów i długi ukryte, stanowiące, z reguły, trzy/czterokrotną wartość długu publicznego. Tak więc, łączne zadłużenie społeczeństwa i państwa amerykańskiego szacowane jest na około 190 bln USD (!), co oznacza ok. dziesięciokrotną wartość PKB. Od dawna, USA (podobnie jak Polska) żyją na kredyt, który kiedyś trzeba będzie spłacić. Ale kiedy i jak? Oto jest pytanie oraz wielki problem USA i całego świata; oto są owe główne „gliniane nogi" słonia amerykańskiego[10]. Bez przesady i realistycznie trzeba więc stwierdzić, iż ewentualne dążenie do wyplątania się z tego olbrzymiego zadłużenia może popychać niektóre siły w USA do awantur wojennych.
Teraz o najważniejszych słabościach. Za główną z mnich trzeba uznać anachroniczny i niewydajny system (ustrój) w USA: neoliberalizm, neokonserwatyzm, fetysz wolnego rynku, niby demokracja, państwo policyjne, brak optymalnej alternatywy opozycyjnej wobec prawie tożsamych partii rządzących, jedna po drugiej itp. Natura tego systemu jest tego rodzaju, że nawet, jeśli to wielkie mocarstwo dopracuje się poważnych wyników na określonym etapie swego rozwoju, to – po pewnym czasie – system generuje kryzys, który niszczy i pożera owoce rozwoju. Tak było w przypadku I kryzysu globalnego (przełom lat 20. i 30. XX wieku), jak również II kryzysu globalnego (od 2007 r. do dziś). Bolesne doświadczenia amerykańskie dowodzą, iż „niewidzialna ręka rynku" nie jest w stanie rozwiązywać nabrzmiewających problemów społeczno-gospodarczych, w wyniku czego, w obliczu kryzysu, władza musi uciekać się do metod interwencjonizmu państwowego (np. ratowanie firm „zbyt dużych, żeby splajtowały", drukowanie papierowych dolarów bez pokrycia, zamówienia wojskowe itp.). W USA toczy się wiele dyskusji systemowych, ale nie pojawiła się jeszcze całościowa, realistyczna i coraz bardziej niezbędna koncepcja, która byłaby alternatywą wobec przestarzałego ustroju. Dodajmy, że jego elementem jest także Global Hard Power Policy.
Inna słabość wynika z tego, co kiedyś stanowiło o sile USA, czyli z wielonarodowości i z pluralizmu kulturowego. Społeczeństwo amerykańskie jest niebywałym zlepkiem złożonym z niegdysiejszych uchodźców i azylantów, z przedstawicieli prawie wszystkich narodowości i grup etnicznych świata (dzisiaj medale olimpijskie zdobywają dla USA prawie wyłącznie czarnoskórzy sportowcy, potomkowie niewolników). Ww. słabość jest już poważnym czynnikiem rozsadzającym Stany od wewnątrz i, po części, z zewnątrz. Nasilają się konflikty na tle rasowym, etnicznym, religijnym, ksenofobicznym i ekonomicznym. Słynne zawołanie alterglobalistów amerykańskich: „1% bogatych a 99% ubogich" nie jest odległe od prawdy. Właśnie wśród czarnoskórych mieszkańców nowojorskiego Harlemu, jeszcze w czasach studenckich, zauważyłem, chyba najsilniejsze w świecie, przejawy antysemityzmu. Liczba ludności USA wynosi 322 mln. Obecnie już prawie 40% tego społeczeństwa amerykańskiego mówi po hiszpańsku. Polish Americans jest około 9,5 mln (3% ogółu ludności), Żydów wyznających judaizm jest 5,7 mln, a muzułmanów - około 7 mln (2,15%) z tym, że ich

liczebność dość szybko wzrasta. Muzułmanie z USA boleją nad tym, że wojska amerykańskie mordują ich braci w wierze w wielu krajach islamskich. Nie pozostaje to bez wpływu na podnoszenie poziomu radykalizacji w tej społeczności. W sumie, postępuje coraz wyraźniejsza dezintegracja społeczeństwa amerykańskiego.

GLOBALIZACJA – DEGLOBALIZACJA

Trwająca do niedawna IV globalizacja była ważnym instrumentem w polityce i w strategii USA w skali światowej. Pod pojęciem globalizacji należy rozumieć proces integracji między państwami i narodami, polegający na wymianie ludzi, dóbr intelektualnych i kulturalnych oraz idei, wyrobów, usług, kapitału, inwestycji itp. Wyróżniamy 3 główne rodzaje globalizacji: polityczną, ekonomiczną i społeczną (szczególnie kulturalną). W II połowie XX i w XXI wieku, rozwojowi globalizacji sprzyjał imponujący postęp w zakresie znoszenia barier granicznych, środków transportu i łączności.
W czasach nowożytnych, rozróżniamy, chronologicznie, cztery kolejne globalizacje: 1. post wiedeńska (po zakończeniu wojen napoleońskich i po kongresie wiedeńskim w 1815 r.), 2. post wersalska (po zakończeniu I wojny światowej i po traktatach pokojowych z 1918 r. i n.), 3. post jałtańska (po zakończeniu II wojny światowej i po zawarciu zmowy jałtańsko-poczdamskiej) i 4. post berlińska (po upadku muru berlińskiego i systemu dwubiegunowego w świecie, na przełomie lat 80. i 90. XX wieku). Ten ostatni etap globalizacji był maksymalnie manipulowany i wykorzystywany przez USA - dla ich własnych celów i dochodów, z użyciem instytucji międzynarodowych zdominowanych przez Stany, szczególnie MFW i Banku Światowego. Zwłaszcza, amerykańskie (i zachodnie - w ogólności) koncerny wielonarodowe (tzw. multinationals) i monopole panoszyły się w świecie, zarabiając duże pieniądze pod pretekstem globalizacji. Etap ten zakończył się wraz z początkiem II wielkiego kryzysu globalnego, tzn. od roku 2007. Można powiedzieć, iż oznaczało to również kres IV globalizacji, po której powstała próżnia, którą trzeba będzie wypełnić nowym ładem międzynarodowym. Powrotu do starych praktyk globalizacyjnych i dyskryminacyjnych (preferowania bogatych i lekceważenia biednych) być nie powinno. Tworzy się bowiem nowy układ sił na świecie.
Z procesem globalizacji należy też kojarzyć dekolonizację, która doprowadziła do upadku imperiów kolonialnych i do zwiększenia liczby suwerennych państw narodowych od 50 (przed dekolonizacją) do 192 – pod koniec XX wieku. Proces ten rozpoczął się od rozpadu imperium hiszpańskiego, jeszcze w XIX wieku. Następnie, po I wojnie światowej, rozczłonkowaniu i likwidacji uległy imperia kolonialne: niemieckie, austrowęgierskie, otomańskie i rosyjskie; a po II wojnie światowej: brytyjskie, francuskie, holenderskie, japońskie, portugalskie, belgijskie i włoskie; zaś po „zimnej wojnie” – „imperium radzieckie”. Teraz kolej na „imperium amerykańskie”. Tak więc, nie tylko poszczególne globalizacje, ale również kolonizacja zakończyła się klęską i niepowodzeniem kolonizatorów, którzy jednak zarobili na tym niemało kosztem wielkich ofiar, wyrzeczeń, rabunku i strat narodów oraz krajów kolonizowanych (wyzyskiwanych).
Najprawdopodobniej, droga do nowego ładu światowego i do systemu wielobiegunowego prowadzić będzie przez deglobalizację. Proces ten już faktycznie trwa w mikro skali oraz w sposób jeszcze nie skoordynowany i nie kontrolowany przez nikogo. Główną siłą motoryczną w tym procesie są Chiny oraz ich sojusznicy i partnerzy z BRICS, z ASEAN i in. Definicję deglobalizacji sformułować można następująco: jest to koncepcja określająca nową formułę i innowacyjną organizację gospodarstwa światowego. Uwzględnia ona intensyfikację powiązań

międzyludzkich w świecie, ale stara się uwolnić je spod rygorów oraz dyktatu neoliberalizmu, globalizacji finansowej i wolnego rynku. Ma to być organizacja sprawiedliwa, humanistyczna i ekologiczna (czyli zrównoważony rozwój). Taryfy i opłaty celne powinny być określane stosownie do kosztów społecznych i ekologicznych produkcji towarów i usług, przy czym zakłady produkcyjne trzeba odpowiednio przemieścić (tzw. reterytorializacja).
Jednym z głównych promotorów deglobalizacji jest Walden Bello, człowiek lewicy, filipiński profesor socjologii i administracji publicznej, absolwent, m.in., Uniwersytetu Manilskiego i Princeton, wykładowca na wielu uniwersytetach amerykańskich i autor licznych publikacji na analizowane tematy[11]. W. Bello sformułował 14 zasad deglobalizacji, spośród których na podkreślenie zasługują następujące: - produkować, przede wszystkim, na rynek krajowy, a nie na eksport; - wprowadzić cła ochronne dla rynku krajowego, aby przeciwstawić się ekspansji wielkich koncernów i subsydiom państwowym sztucznie obniżającym ceny wyrobów tych koncernów; - położyć większy nacisk na jakość pracy i życia, a nie na sam wzrost gospodarczy (PKB); - zwiększyć udział odnawialnych źródeł energii w produkcji krajowej i światowej; - zapewnić równość płci w życiu politycznym i społeczno - gospodarczym; podejmować decyzje strategiczne nie via wolny rynek i technokratów lecz metodami demokratycznymi; - zwiększyć kontrolę społeczną nad sektorem prywatnym; - wprowadzić gospodarkę mieszaną („mixed economy"), uwzględniającą wszystkie formy własności; - zlikwidować MFW i Bank Światowy oraz utworzyć nowe instytucje finansowe nie na zasadach wolnego rynku i obiegu kapitału lecz współpracy i partnerstwa itp.
Prof. W. Bello uważa też, iż deglobalizacja nie oznacza cofnięcia wstecz świata, szczególnie gospodarstwa światowego, lecz zmierza do wypracowania alternatywy wobec zachowawczych projektów Światowej Organizacji Handlu. Podkreśla on, iż promotorzy dotychczasowej globalizacji doprowadzili ją (i siebie) do takiego stadium, że „starają się zarządzać czymś, czym zarządzać już się nie da…"). Kluczową sprawą jest również zmniejszenie luki rozwojowej między Północą a Południem, bogatymi a biednymi itp. Profesor krytykuje ostro koncepcje tzw. „szczęśliwej globalizacji", która - rzekomo - mogłaby doprowadzić do postępu cywilizacyjnego w krajach Południa. W tym duchu, deglobalizacja ma służyć rozwojowi gospodarek krajowych, regionalnych i kontynentalnych, a nie ich degradowaniu oraz takiej restrukturyzacji gospodarstwa światowego i systemu politycznego, aby sprzyjał on odpowiednio sprawom ekonomicznym. Należy też położyć kres dominacji koncernów wielonarodowych, ich patologii pieniądza i żądzy zysku oraz lepiej zaspokajać potrzeby poszczególnych ludzi i całych społeczności. Trudno odmówić słuszności postulatom prof. W. Bello oraz zawartym w nich propozycjom ws. optymalizacji, racjonalizacji, zwiększenia efektywności, humanizacji polityki i gospodarki światowej oraz zrównoważonego rozwoju.

UWAGI KOŃCOWE

Chcę wierzyć, że przedstawiona powyżej analiza ewolucji i faktografia dotycząca polityki globalnej USA upoważnia do stwierdzenia, iż poniosła ona totalne fiasko, mimo ogromnych nakładów i starań tego mocarstwa przez całe dziesięciolecia. Przykłady niepowodzeń można by mnożyć dalej, np.: osłabienie pozycji USA w Afryce, wyrywanie się Ameryki Południowej spod kurateli Waszyngtonu, a nawet coraz większe „nieposłuszeństwo" UE, także W. Brytanii w stosunku do „silniejszego brata". W każdym razie, żaden z głównych globalnych celów długofalowych i strategicznych USA nie został osiągnięty. Nie doczekaliśmy się ich panowania nad światem oraz uniwersalizacji modelu amerykańskiego i raczej nie doczekamy się już tego.

Przyznaje to wielu Amerykanów, a wśród nich Donald Trump, który wzywa do rewizji, do uelastycznienia i do modernizacji polityki globalnej USA oraz stwierdza, że mocarstwo to nie powinno już być „żandarmem/policjantem świata”[12]. Trudno o lepsze i o bardziej wymowne potwierdzenie, iż polityka tej „żandarmerii” skończyła się niepowodzeniem. Model amerykański nie został urzeczywistniony w 100% w żadnym z państw świata.
W świetle obecnej sytuacji, przed USA staje alternatywa natury zasadniczej: 1. albo ich dotychczasowa nierealistyczna polityka globalna będzie nadal kontynuowana, co doprowadziłoby do dalszego pogorszenia pozycji USA w świecie oraz do niebezpiecznego zaostrzenia stosunków międzynarodowych w związku z amerykańskim dążeniem do osiągnięcia celów nieosiągalnych; 2. albo też Stany Zjednoczone zdecydują się na radykalne zreformowanie (wręcz odwrócenie) tej polityki, odstąpienie od dominacji, od hegemonizmu, od filozofii i praktyki Hard Power na rzecz Soft Power oraz na konstruktywne budowanie Nowego Świata wespół z innymi mocarstwami i państwami, co będzie z korzyścią także dla samych USA? Sadzę wszelako, iż proces dojrzewania państwa, społeczeństwa i establishmentu amerykańskiego do nowatorskich rozwiązań będzie jednak możliwy, ale dość powolny. Szkoda, bowiem w staraniach o przeobrażenie świata i o rozwiązywanie jego palących problemów, czynnik czasu odgrywa kluczową rolę.
Spodziewam się także, że reszta świata uwzględniać będzie w coraz większym zakresie nieuchronne metamorfozy dokonujące się w polityce globalnej (kontynentalnej, regionalnej i in.) USA oraz dostosowywać się będzie elastycznie do tych przemian. Naturalnie, powinny nastąpić zmiany podejścia innych państw do kwestii sojuszu i współpracy z USA. Bowiem, do tej pory, sojusze tego rodzaju i „gwarancje bezpieczeństwa” ze strony Stanów Zjednoczonych korzystały nieomalże z preferencji monopolistycznych i atrybutów wyłączności. Powiadano: jeśli USA cię nie obronią, to nikt inny cię nie obroni i jeśli USA cię będą bronić, to nikt inny cię nie zaatakuje. To czysta fantazja i pobożne życzenia. Teoretycznie, Stany Zjednoczone miałyby tak liczne grono państw i narodów do obrony, iż w praktyce żadnego z nich odpowiednio obronić by nie zdołały.
Proces zmian w podejściu licznych państw do USA i do polityki sojuszów z nimi jest w toku już od dłuższego czasu. Widać to nawet w przypadku najwierniejszych sojuszników: W. Brytanii, Francji, Niemiec, Kanady, Meksyku, Arabii Saudyjskiej, Izraela, Pakistanu, Turcji, Australii i in. oraz Indii, Unii Europejskiej, Brazylii, Wenezueli, czy Kuby, z którą USA bezproduktywnie zamroziły swe stosunki na okres 1961 – 2015 r. (embargo, blokada, dyskryminacja, groźby interwencji itp.). W trwającym procesie przeobrażeń, poszczególne państwa dążą, głównie, do wielobiegunowej i do pluralistycznej polityki sojuszów, odchodząc od monopolu amerykańskiego w tej mierze.
Najwyższy czas, aby stosowne zmiany i przeobrażenia jakościowe nastąpiły także w polityce zagranicznej RP, głównie w kwestii sojuszów. Przez cały dotychczasowy okres transformacji, władze polskie trzymały się kurczowo „klamki amerykańskiej”, były nader posłuszne i potulne wobec nowego „starszego brata”, a Polska niewiele korzystała na tym (raczej dopłacała do interesu). Co gorsza, przereklamowane gwarancje bezpieczeństwa dla RP ze strony USA i NATO mogą okazać się absolutnie iluzoryczne, w przypadku poważniejszego zagrożenia. Słowem, stosunki RP – US wymagają gruntownego przewartościowania, racjonalizacji, optymalizacji i partnerskiego rozwoju, stosownie do wymagań naszych czasów. Dobrze więc, że obecne władze RP dynamizują współpracę z Chinami, z Indiami, z państwami ASEAN, z Afryką i in., zmierzają do większej efektywności funkcjonowania ociężałego molocha UE oraz rozwijają współdziałanie w układzie regionalnym. Zdecydowanej normalizacji, uzdrowienia i poprawy

wymagają jeszcze stosunki Rzeczypospolitej Polskiej z Federacją Rosyjską (Niemcy to potrafią). Trzeba Rosję traktować, z umiarem i ze wzajemnością, nie jako wroga i rywala lecz jako przyjaciela i partnera. Bowiem, bez tego polityka RP na arenie międzynarodowej byłaby sparaliżowana w niemałym stopniu. Tego Polsce życzyć nie należy.

Sylwester Szafarz

Przypisy:

[1]. Por. artykuły trzech ww. profesorów opublikowane w dzienniku „Żenminżibao", z dnia 18 września 2016 r.;
[2]. Wymownym przykładem miscalculation i wielkiego paradoksu jest również fakt, iż USA finansowały i uzbrajały talibów do walki przeciwko armii radzieckiej w Afganistanie (1979 r. - 1989 r.). Nie przewidziano jednak, iż - po zakończeniu tej wojny i po rozpoczęciu inwazji USA przeciwko owemu nieszczęsnemu krajowi, talibowie zwrócą swą broń przeciwko… ofiarodawcom amerykańskim i ich sojusznikom, również Polakom, niestety. Trwa to po dziś dzień;
[3]. Tytułem przykładu, wymieńmy tylko niektóre spośród takich broni: systemy i działa fotonowe i laserowe o wielkiej energii, wyrzutnie elektromagnetyczne, drony, niewykrywalne samoloty bojowe (np. amerykański myśliwiec F-22 Raptor), wojny internetowe (tzw. Cyber Wars), skomputeryzowane i zrobotyzowane pole walki, lotniskowce najnowszej generacji (np. z serii Ford Class), bardzo nowoczesne bronie chemiczne, bakteriologiczne, psychotropowe, kosmiczne itp.;
[4]. Więcej na ten temat, por.: Anthony C. Sutton, „Wall Street and the Bolshevik Revolution", wyd. Arlington House, New York, 1974 r.;
[5]. Aktualne dane makroekonomiczne dotyczące chińsko - amerykańskiej współpracy gospodarczej, handlowej i finansowej: wartość eksportu chińskiego do USA w 2015 r. = 483, 2 mld USD (w roku 2016 = 251,7 mld USD); wartość eksportu amerykańskiego do Chin w roku 2015 = 116 mld USD (60,4 mld USD w roku 2016); ujemne (dla USA) saldo w bilansie handlowym z Chinami = 367 mld USD (w roku 2015) i 191, 4 mld USD (w roku 2016); wartość inwestycji chińskich w USA = 30 mld USD, w roku 2016 = 30 mld USD (szacunek) i 15 mld USD, w roku 2015; wartość inwestycji amerykańskich w Chinach = 74,6 mld USD, w roku 2015; wartość chińskich rezerw walutowych = 3,5 bln USD (z czego ponad 60% utrzymywanych jest w USD); Chiny posiadają także obligacje amerykańskie o wartości 1,24 bln USD, czyli około 30% wartości wszystkich obligacji tego rodzaju znajdujących się w rękach właścicieli zagranicznych;
[6]. Obecne wydatki wojskowe Chin wynoszą 188 mld USD, a USA - 640 mld USD; PKB ChRL szacowane jest na 21 bln USD, a USA na 18,6 bln USD (w kategoriach PPP = Purchasing Power Parity, parytet siły nabywczej);
[7]. Dla porównania: radzieckie straty w ludziach, w wyniku II wojny światowej, szacowane są na 27 mln osób, w tym 11,5 mln wojskowych;
[8]. Z kolei, amerykańska organizacja pozarządowa (laureat nagrody Nobla) - Lekarze na rzecz Odpowiedzialności Społecznej (Physician for Social Responsibility), z siedzibą w Waszyngtonie,

szacuje liczbę zabitych w dotychczasowych atakach terrorystycznych na ponad 2 mln osób;
[9]. Bardziej szczegółowe dane na ten temat można znaleźć na specjalistycznym portalu Statista;
[10]. Per analogiam, sytuacja zadłużeniowa Polski, z uwzględnieniem ww. 5 rodzajów długów, jest też tragiczna, a mianowicie: dług publiczny = ponad 1 bln zł., długi ukryte = 3/4-krotna wartość długu publicznego, dług zagraniczny = 340.515 mld USD oraz długi producentów i konsumentów, co daje łączne zadłużenie społeczeństwa i państwa polskiego rzędu 8 bln zł.! Trzeba to będzie spłacać przez wiele pokoleń, o ile w ogóle dług ten jest do spłacenia?! Podobnie, jak w przypadku USA, sytuacja ta jest efektem wadliwego systemu neoliberalnego. Wyjścia z tej sytuacji należy szukać w zmianach systemowych (np. innowacyjna społeczna gospodarka rynkowa). Bowiem, w przeciwnym razie, nawet najlepszy rząd nie zdoła uporać się z problemami rozwojowymi Polski, gdyż niszczycielski system będzie niweczył, co pewien czas, rezultaty rozwoju oraz wysiłków społeczeństwa i władz;
[11]. Np.: książka „Pomysły deglobalizacyjne w odniesieniu do nowej gospodarki światowej” („Deglobalization Ideas for New World Economy”, 1 VI 2004 r., Wydawnictwo Zed Books);
[12]. Por. wypowiedź D. Trumpa w programie telewizji Fox News, z dnia 1 X 2015 r.